GILA - my

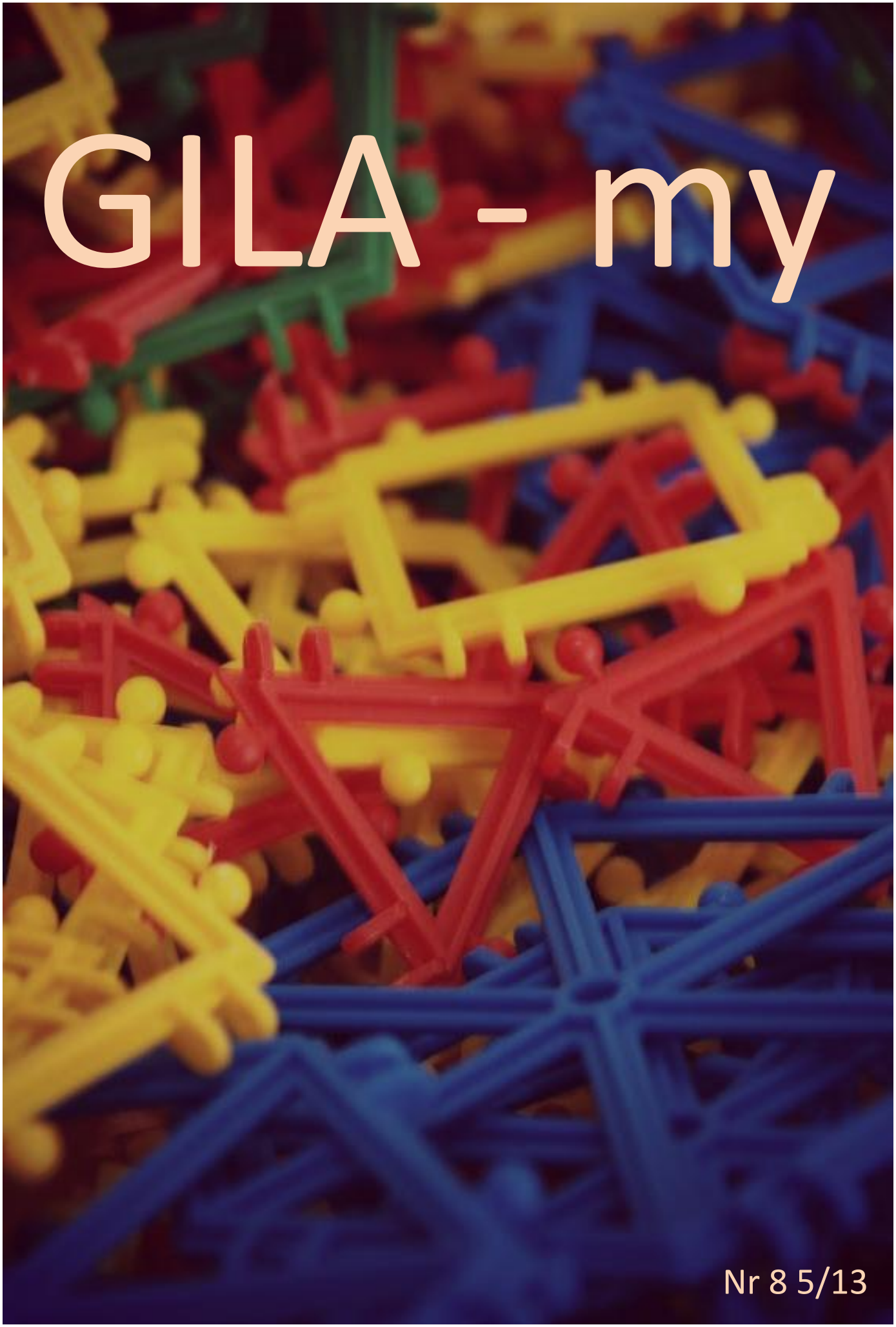

Nr 8 5/13

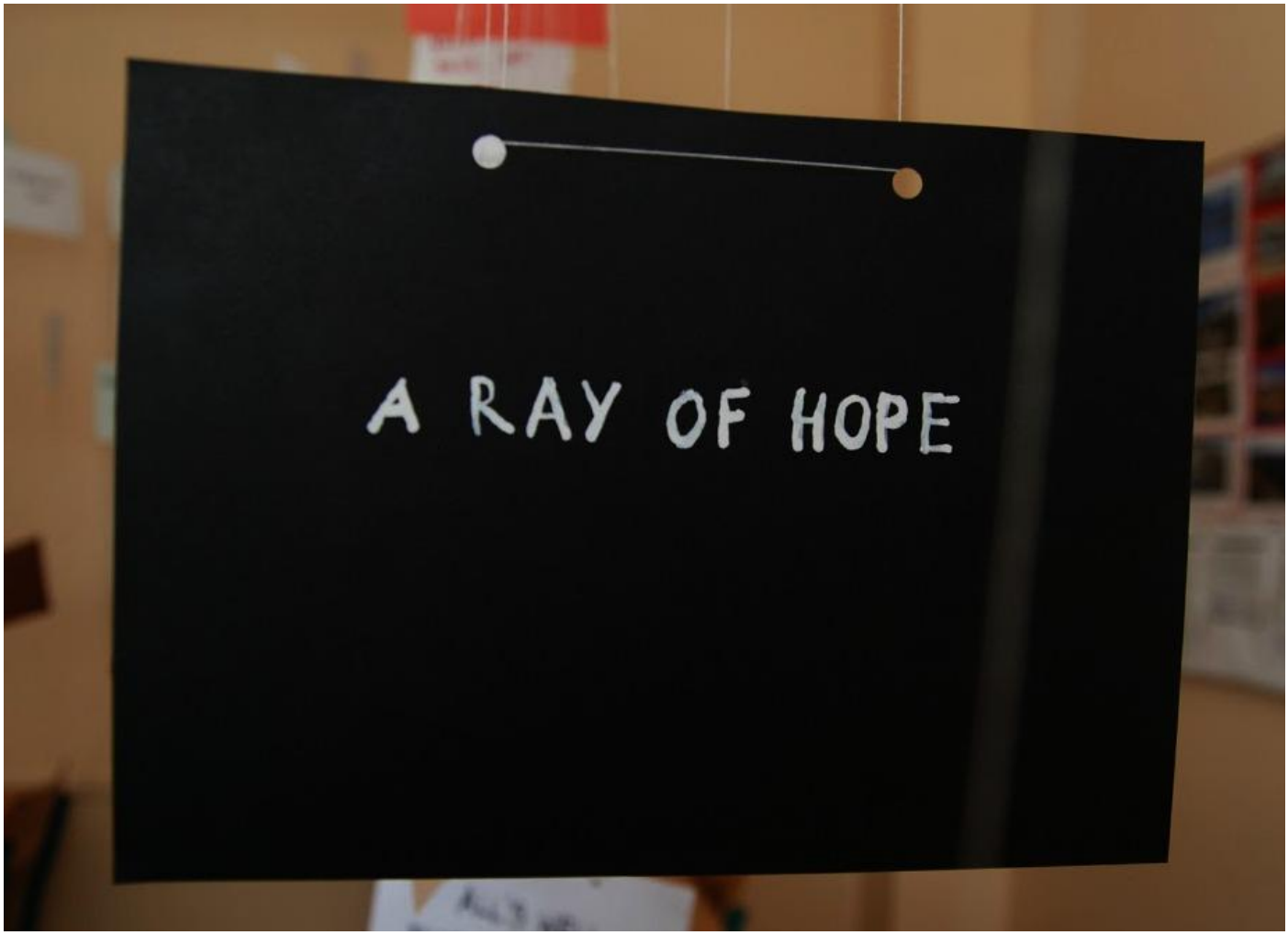

Drodzy czytelnicy!

Zapraszamy do lektury już drugiego w tym roku numeru gazetki „GiLA-my". Mimo wielu trudności, staramy się usprawnić nasze działania. Naszym tegorocznym celem jest regularność publikacji. Co prawda, nie wychodziło to najlepiej, jednak po odbytych przed Koncertem Talentów Obrad Senatu zrozumieliśmy, jak ważna jest nasza działalność dla społeczności uczniowskiej.

Zapraszamy również do redakcji wszystkie młode talenty z gimnazjum i liceum do współpracy – pamiętajcie, że to jest Wasza gazetka!

Kwiecień i maj to czas egzaminów. Chcielibyśmy życzyć wszystkim maturzystom powodzenia, a co do was, drodzy gimnazjaliści, wierzymy, że jesteście zadowoleni z tego, jak poszły wam testy.

Na koniec zapraszamy do lektury. Mamy nadzieję, że wybrane przez nas tematy Wam się spodobają.

Redakcja Gazetki

W NUMERZE:

Aktualności
podsumowanie Drzwi Otwartych
relacja z konkursu „Kalejdoskop”

Kultura
wrażenia z wystawy w CSW
recenzja filmu „Baczyński”

Nasza twórczość
Opowiadanie „Między jawą a snem”

Kuchnia
owsiano-bananowe ciasteczka śniadaniowe
kakaowe muffinki z fasoli

Drzwi Otwarte

Za kulisami Drzwi Otwartych

Ostatnie tygodnie w Liceum i Gimnazjum Akademickim uczniowie oraz nauczyciele spędzili na gorączkowych przygotowaniach do Drzwi Otwartych. Przez ten czas zdążyliśmy przywyknąć do ciągłego braku taśmy klejącej, która była towarem deficytowym, poszukiwanym między innymi do podoklejania lian w dżungli czy przerażających pająków w Wielkiej Sali w Hogwarcie. W sobotę rano już na kilka godzin przed rozpoczęciem Drzwi Otwartych w szkole panował niesamowity ruch: przenosiliśmy ostatnie stoliki i naczynia, ustawialiśmy kanapki i ciasteczka, szukaliśmy odczynników chemicznych i poprawialiśmy tiary, które spadały nam z głów w pośpiechu.

Co można było zobaczyć?

Jeżeli zdarzyło wam się opuścić Drzwi Otwarte w GiLA – żałujcie. Była to nie tylko okazja do zapoznania się z możliwościami naszej szkoły, ale również wspaniała atrakcja. Po wysłuchaniu przemowy pana dyrektora Arkadiusza Stańczyka, zwiedzający mogli między innymi przekąsić coś podczas Śniadania u Tiffany'ego; zrobić sobie zdjęcia w czarodziejskiej tiarze w Wielkiej Sali Hogwartu na tle wielkiego, kosmatego pająka (mamy wrażenie że jedyną osobą, która nie skorzystałaby z tak wspaniałej możliwości jest Ron…); wypić herbatkę prosto z igliwia, robioną przez przerażające, wielookie potwory z dżungli; zabawić się w rozwiązywanie zagadek matematycznych; obejrzeć naszych najlepszych chemików zmagających się z różnymi kolorowymi substancjami; wziąć udział w pierwszej lekcji języka hiszpańskiego z panią profesor Kasią Lewicką; nauczyć się słynnego tańca do „Waka Waka" Shariky, a nawet zagrać w geograficzne „Jeden z dziesięciu"!

Wrażenia kandydatów do GiLA

„Najbardziej podobał mi się Hogwart! Z przyjemnością chciałabym uczyć się w tej szkole. Żałuję tylko, że nie ma klasy humanistycznej” - mówi piętnastoletnia Ania -„Chyba będę musiała iść na mat-fiz!”. ☺

„Podziwiam przede wszystkim zaangażowanie w przygotowaniu Drzwi Otwartych w GiLA. W mojej poprzedniej szkole mało kto w ogóle wiedział, że coś takiego się odbywa! Jedynym minusem, który skłania mnie do wahania się, jest brak sali gimnastycznej, bo po szkole zajmuję się piłką ręczną i chciałbym nadal trenować, ale myślę, że jednak zdecyduję się na biol-chem w GiLA!” zdradził nam Piotr.

„Bardzo podobało mi się że mogliśmy nauczyć się tańczyć do „Waka Waka! Przychodząc tu, myślałam, że będzie tu strasznie sztywno i naukowo, zostałam pozytywnie zaskoczona i zmotywowana. Mam nadzieję, że w gimnazjum będziemy robić równie ciekawe rzeczy!” powiedziała Anita.

Fotorelacja

Podczas gdy pozostali biegali po szkole, grając na gitarach, pokazując innym swoje różdżki czy rozdając broszurki szkoły, nasza nieustraszona fotograf, Natalia, przygotowywała fotorelację zarówno dla tych nieobecnych, by mogli zobaczyć, co ich ominęło, jak i tych, którzy bawili się na naszych Drzwiach Otwartych tak dobrze, że pamiątkowe zdjęcia będą oglądać przez następne dziesięć lat! :)

Klara Rubiniec

Cuda Niewidy w toruńskim CSW

Cuda Niewidy **to wystawa, której celem jest wprowadzenie nas w magiczny świat, w którym zacierają się granice pomiędzy modą i sztuką. W podróż ku miejscu pozbawionemu nachalnej komercji i nudy codziennego, sieciówkowego przemysłu odzieżowego. W przestrzeń, w której surrealistyczne stroje i akcesoria poruszą do głębi zarówno nasze zmysły estetyczne jak i emocje…**

Znajdziemy tutaj kryształowe słodycze z ludzkich łez i cukru, ułożone na lustrach wraz z zapiskami historii, które przyczyniły się do ich powstania. Autorka – Tomoko Hayashi – uważa je zarówno za odtrutkę na czarne wspomnienia (ich spożycie ma być czymś w rodzaju zjedzenia czekolady po spotkaniu z Dementorem, formą poprawy humoru obecną nie tylko w świecie Harry'ego Pottera) jak i urokliwą biżuterią. Szkoda tylko, że chcąc przeczytać te opowieści bądź przyjrzeć się kryształom, musimy się nieźle natrudzić – światło skierowane na eksponaty odbija się w lustrze, przez co razi w oczy.

Projekty Minny Palmqvist należące do kolekcji *Intymnie społeczna* pozwolą nam na zaakceptowanie przemian zachodzących w naszym ciele na skutek przemijania, bądź pojawiania się na nim różnego rodzaju defektów.

Idealnie oddaje to instalacja przedstawiająca obiekt o cielistym kształcie, utworzony z balonów, które marszcząc się i zapadając na skutek uciekającego powietrza, przywodzą na myśl transformacje naszej skóry wraz z upływem lat.

Studium nad człowieczym ciałem prowadzi również Naomi Filmer – jej kolekcja akcesoriów pod tytułem *Zawieszone pąki ciała* jest swoistym hołdem witalności ludzkiego organizmu, wykonanym ze szkła w cielistym kolorze, przywodzącym na myśl skórę.

Na wystawie natkniemy się również na pracę wybitnego designera, autora ostatnio rozsławionych na paryskim fashion weeku f/w 2013/2014 *transforming dresses* – Husseina Chalayana. Jego pięciokanałowa instalacja wideo pod tytułem *Nieobecna obecność*, opowiada o pracy biolożki, portretowanej przez wybitną aktorkę Tildę Swinton, która na podstawie materiału genetycznego zebranego z ubrań imigrantek, tworzy ich elektroniczne klony, które mają być przetestowane pod kątem egzystencji w Londynie. Film jest odpowiedzią na coraz bardziej paranoiczną politykę imigracyjną oraz kontrolę imigrantów na Wyspach Brytyjskich.

Warto również zwrócić uwagę na film Anne-Nicole Ziesche – *Przechowalnia dzieciństwa*. Wideo, choć niezwykle ekscentryczne i

trudne w odbiorze przez swój minimalizm, jest próbą zrozumienia świata dzieci, które traktują elementy ubioru jako formę przechowania związanych z nim wspomnień.

Kolejną znaną artystką, której prace goszczą na wystawie jest Iris van Herpen. Ta innowacyjna holenderska designerka, która pracowała dla Alexandra McQueena, stworzyła zapierająca dech w piersiach, misterną kolekcję haute couture, której projekcję możemy oglądać na toruńskich *Cudach Niewidach*. Szkoda, że tylko projekcję – kluczem do projektów van Herpen jest ich trójwymiarowość, zabawa formą, której płaski ekran nie jest w stanie oddać. Kolekcja *Voltage (Napięcie)* jest hołdem złożonym Nikoli Tesli – żyjącego na przełomie XIX i XX wieku - inżynierowi i wynalazcy różnych urządzeń elektrycznych, teorii energii witalnej płynącej w naszym ciele oraz ciągłych zmian zachodzących w formie światła i prądu. Sala otwierająca wystawę, to zdecydowanie najlepiej rozplanowana część ekspozycji. Zauważają to wszyscy zwiedzający, którzy gromadzą się w tej najbardziej energetycznej przestrzeni wystawy. Głośna muzyka, dynamika i estetyka filmów Ruth Hogben, przedstawiających modelkę tańczącą w strojach wybitnego Garetha Pugha oraz seria niesamowitych projektów Kima Hagelinda (pod tytułem: *Oscylony)*, wykonanych z czarnego plastiku, przy wyraźnej zabawie formą, fakturą i krawędzią, fantastycznie oddaje ducha mody.

Z wielkim trudem jednak możemy odnaleźć tu równie ciekawe, a nie tak dynamiczne, przytłoczone przez sąsiedztwo ekspozycji, prace Anny Rajcevic z kolekcji *Zwierzę: druga strona ewolucji*.

Gubią się one w półmroku sali - a szkoda! Ich formy, przywodzące na myśl rogi zwierząt, kości lub płetwy, wykonane z włókna szklanego i żywicy poliestrowej są minimalistycznym ideałem symetrii i symbolem okiełznanej przez człowieka, aczkolwiek ukrytej w ludzkiej naturze, dzikiej przyrody.

Czy więc *Cuda Niewidy* stanowią idealną podróż, w pełni pozwalającą nam na oderwanie się od rutyny i fuszerek brzydkiej codzienności? Obawiam się, że nie - zbyt mała ilość obiektów na tak dużą przestrzeń nie pozwoli nam zapomnieć o świecie, w którym pasożytujący na duszy mody, drapieżny przemysł odzieżowy czyha na nas tuż po wyjściu z CSW. Bezwątpienia *Cuda Niewidy* są jednak warte poświęcenia uwagi, by obejrzeć również, niewspomniane w recenzji, prace pozostałych artystów i choć częściowo rozbudzić w nas zmysł estetyki oraz miłość do sztuki.

Natalia Macioszek

Prosto z ekranu

Wejście na ekrany kin filmu „Baczyński" spotkało się z liczną krytyką. Chyba wielu spodziewało się standardowej biografii, dotyczącej życia najchętniej czytanego polskiego poety. Ale już sam plakat, co ciekawe wiszący nawet w naszej szkole, zapowiadał, że obraz Kordiana Piwowarskiego będzie filmem poetycko – biograficznym. Być może dlatego znaczna część widowni nie potrafi zrozumieć wizji artystycznej reżysera?

Tym, co już na samym początku zadziwia widza, jest sposób realizacji „Baczyńskiego". Nie znajdziemy tutaj typowych dialogów między aktorami, gdyż słowa stanowią wiersze wybitnego poety recytowane przez uczestników widowiska poetyckiego. Ich interpretacja i sposób przekazu stają się tłem dla całego obrazu. Dzięki nim poznajemy losy Baczyńskiego podczas II wojny światowej, która jest podstawą interpretacji jego dzieł. Każda scena pozwala zrozumieć ogromną wrażliwość tego młodego mężczyzny. I chociaż odtwórca głównej roli – Mateusz Kościukiewicz nie wypowiedział w nim ani jednego słowa, co sprawiło, że jego zadanie było jeszcze trudniejsze, to udowodnił, że nie bez przyczyny został laureatem Nagrody im. Zbyszka Cybulskiego.

Film oddziałuje na wszystkie zmysły. Przedstawiane widoki przyrody przeplatane wierszami, czy wspólna piosenka Czesława Mozila i Meli Koteluk uruchamiają w umyśle widza wyobraźnię. Użyte środki wymagają głębszego zaangażowania odbiorcy. Jednocześnie pozwalają lepiej zrozumieć poezję artysty pokolenia Kolumbów. Słyszane wiersze stają się nagle łatwiejsze w odbiorze, kiedy widzi się obraz powstania warszawskiego, a słowa poety płyną z ust młodych ludzi, pokolenia XXI wieku, tak bardzo innego, dalekiego od wzorców i ideałów Baczyńskiego.

„Baczyński" to przede wszystkim historia niespełna dwudziestoletniego mężczyzny, który w obliczu wielkiego nieszczęścia, jakim jest wojna, musi podjąć wiele ważnych decyzji. Jednocześnie ma prawo do szczęścia i miłości. Dlatego widzowi zostają przedstawione różne oblicza poety. Poznajemy wybitnie utalentowaną jednostkę - poetę, któremu talentu zazdrości wielu oraz żołnierza AK, który mimo swojego słabego zdrowia postanawia walczyć o wolność swojej ojczyzny. Już od początku wojny przeżywa wewnętrzną walkę, wie, że w obliczu braku poszanowania podstawowych praw rządzących ludzkością nie może przyjąć biernej postawy. Z drugiej strony widzimy chłopca zakochanego w poznanej na tajnych kompletach dziewczynie. To jej dedykuje swoje piękne wiersze, a w końcu w wieku zaledwie dwudziestu jeden lat staje się jej mężem. W tak młodym wieku musi być opoką i wsparciem dla jeszcze młodszej Basi. Niestety, ich szczęście nie trwa długo, gdyż oboje giną w trakcie powstania - jak widać w obrazie nie brakuje tragizmu.

Scena śmierci poety wzrusza, a jednocześnie rodzi wiele pytań. W każdym podręczniku do historii mówi się o

konsekwencjach powstania warszawskiego, jedną z nich jest śmierć wielu wybitnych ludzi z Baczyńskim na czele. I tak niespodziewanie obraz Piwowarskiego staje się kolejnym pretekstem do dyskusji o sens walki Polaków. Interesującym zabiegiem jest pytanie do uczestników widowiska o to, jaką postawę przyjęliby w obliczu okupacji. Zdania są podzielone. Pozwala to na uświadomienie widzom, jak bardzo zmieniły się nasze priorytety i wartości w ciągu kilkudziesięciu lat. W efekcie porównania dzisiejszych młodych ludzi z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim staje się on postacią niezwykłą, wielkim patriotą, gotowym umrzeć w imię wyznawanych przez siebie wartości, być może dla wielu wzorem do naśladowania.

„Baczyński" z założenia miał być filmem skierowanym do młodszej publiczności. Moim zdaniem spełnił swoje zadanie. Może nie jest wybitnym dziełem polskiej kinematografii, to jednakże pokazuje, że coraz więcej osób dąży do niezależności i indywidualności w swojej twórczości. Gdyby obraz był zwykłym filmem biograficznym, na pewno straciłby dużo na swojej niesamowitości. Zapewne ucierpiałyby wiersze Baczyńskiego, bo ich rola ograniczyłaby się do minimum. A tak „Baczyński" staje się okazją do poznania trudnej poezji artysty i zadania sobie pytań na temat naszych wartości i życia.

Jowita Pańczyk

Kadr z filmu „Baczyński"

Między jawą a snem

To był kwietniowy dzień, jeden z pierwszych tego roku, który można byłoby nazwać prawdziwie wiosennym. Śnieg wreszcie stopniał, odsłaniając tym samym lekko poruszającą się pod delikatnymi podmuchami wiatru trawę. Słoneczne promienie, wpadając przez szybę, ogrzewały moją twarz. Uchyliwszy okno, poczułem znajomy zapach rozgrzanego asfaltu, towarzyszący charakterystycznym dla tej pory mżawkom.

Zerkając od czasu do czasu na plac przed szkołą, czytałem „Dżumę" Alberta Camusa. Choć nie śpieszyłem się z lekturą, jako że powieść nie była interesująca, a ja sam miałem do dyspozycji całe dziewięćdziesiąt minut, to dochodziła dopiero piętnasta, kiedy przeczytałem ostatnią już stronę. Trochę zawiedziony perspektywą bezczynnego spędzenia następnej godziny, oparłem ramiona o ławkę, wygodnie ułożyłem głowę, po czym wpadłem w objęcia Morfeusza, naiwnie sądząc, jakoby sen wcale nie miał być bezmyślny.

Zwykle w snach wszystko, jakkolwiek irracjonalne by nie było, wydaje się normalnością, najbardziej naturalną rzeczą; w szczególności śniąc, nie wiemy, że śnimy. Tym razem byłem doskonale świadomy tego, że rzeczywistość, w której jestem, to tylko sen. Dodatkowo, że mogę kierować swoimi akcjami. Nie byłem zaś biernym, bezwolnym uczestnikiem czy obserwatorem.

Nie wiedziałem jednak wszystkiego, zwłaszcza, co chwilowo zaprzątało mój umysł, gdzie się właściwie znalazłem. Pogoda była diametralnie różna od tej z rzeczywistości: przede wszystkim, wnioskując po wszechogarniającej ciemności, noc musiała zapaść co najmniej parę godzin temu, oprócz tego panował lekki, lecz niespecjalnie dokuczliwy chłód. Czułem zapach morza przenoszony przez wiatr. Słyszałem płynący z oddali gwar, jednak brakowało mi jakichś elementów w miejskim, wnioskując po otaczających mnie blokach, hałasie, tak oczywistych, a jednak niemożliwych do odgadnięcia.

Postanowiłem wyruszyć z oświetlonego pojedynczą, starą lampą zaułka w stronę owych hałasów, niewątpliwie świadczących o obecności ludzi. Ruszyłem przed siebie tylko po to, żeby po chwili dotrzeć do innej wąskiej uliczki. Znając metodę wychodzenia z labiryntów, postanowiłem zawsze skręcać w jedną, ustaloną wcześniej stronę, gdy do wyboru jest kilka ścieżek. Wybrałem skręcanie w lewo, jako że od lewej strony dochodziły huki i okrzyki.

Dotarłem wreszcie do jakiejś szerokiej ulicy, lepiej oświetlonej. Wędrowały tędy niewielkie grupki przechodniów. Uświadomiłem sobie, że to, co było nieobecne w miejskim gwarze, to ruch uliczny. Choć widziałem tory, najpewniej tramwajowe, co wskazywałoby też na obecność samochodów w epoce, w której się znalazłem, to nie dostrzegłem żadnego pojazdu.

Pod jedną z latarni dostrzegłem lekko zgarbionego, opartego o nią człowieka. Co zwróciło moją uwagę, to jego wygląd. Był ubrany niczym lekarz w czasie czarnej śmierci: miał na sobie czarne, całkowicie okrywające stopy obuwie, kapelusz takiej samej barwy na głowie, długi, sięgający aż do kostek płaszcz, a wreszcie kruczą maskę z dziobem o długości parudziesięciu centymetrów.

Podszedłem do niego, chcąc się dowiedzieć, gdzie się znalazłem, a także kim on jest. Najwyraźniej usłyszawszy moje kroki, odwrócił się nagle w moją stronę. Maska w całości zasłaniała jego twarz, toteż nie mogłem ani ocenić wieku mężczyzny, ani dostrzec jakichkolwiek emocji obnażonych na jego twarzy. Gdy byliśmy już ledwie parę kroków od siebie, wyciągnął do przodu rękę w geście powitania.

- *Rieux* – przedstawił się.

Słyszałem to imię już wcześniej. Przez chwilę się zastanawiałem, z czym mi się ono skojarzyło, jednocześnie wymieniając uścisk dłoni.

Wreszcie przypomniałem sobie: właśnie tak nazywał się główny bohater dopiero co przeczytanej przeze mnie książki. Tymczasem on sam kazał mi podążać za nim w celu, którego nie raczył wyjawić.

Szliśmy ulicami miasta, najprawdopodobniej Oranu, mijając ciemne, wąskie bloki mieszkalne, kolorowe płótna zachęcające do wstąpienia do restauracji, kościół z wyzierającym krzyżem. W końcu skręciliśmy w jedną z bocznych uliczek i weszliśmy do znajdującej się przy niej kawiarni.

Pomimo lokalizacji na uboczu, w środku nie było wielu wolnych miejsc. Ludzie swobodnie rozmawiali, śmiali się, pili. Wnętrze było jasne, choć lekko zadymione. Rieux wchodząc, zdjął swoją maskę. Przecisnęliśmy się do jedynego wolnego stolika w okolicy, był on położony w centrum lokalu. Co zastanawiające, doskonale rozumiałem język, którym posługiwali się ludzie w swoich rozmowach.

Zajęliśmy miejsca przy drewnianym, niewielkim, ale stabilnie wyglądającym stole. Rieux zamówił dzban lokalnego wina.

- Masz jakieś pytania? - spytał. - To ważne, ważniejsze, niż ci się wydaje – dodał po chwili.

Patrzyłem na niego, na jego siwe włosy, bladą cerę, podkrążone oczy, wąskie usta wykrzywione w grymasie. Cała sytuacja wydawała mi się absurdalna. Wiedziałem przecież, wiedziałem, że to wszystko jest jedynie iluzją, obłudą.

Zobaczył to w moich oczach. Sącząc powoli wino, obserwowałem, jak bawi się rogiem serwety.

- Czy pamiętasz chociaż, co powiedziałem na końcu? - zapytał.

- Tak – prychnąłem. - Dżuma nigdy nie umiera. Niestety, muszę cię zawieść. Mamy XXI wiek, dżuma to twoja maska, która mogłaby służyć za część przebrania karnawałowego, nic ponadto – powiedziałem, szyderczo się uśmiechając.

- Nic nie rozumiesz! – ryknął. - Dżuma nigdy nie umiera i już wkrótce sam się o tym przekonasz – ciszej dokończył.

Poczułem nagły skurcz w brzuchu. Bynajmniej nie był to nagły atak choroby, lecz dźgnięcie znajomej z ławki. Otworzyłem oczy, zamglonym spojrzeniem spojrzałem ponad siebie na nauczycielkę. Uśmiechnąłem się przepraszająco i zacząłem zastanawiać się, jak to możliwe, że wciąż czuję cierpki smak wina na podniebieniu.

Michał Zabłocki

Konkurs „Kalejdoskop”

Pewnie niewielu z uczniów naszej szkoły wie, że we wtorek, 16 kwietnia, sześcioro drugoklasistów (z gimnazjum) pojechało do Włocławka po odbiór nagrody za konkurs „Kalejdoskop”. Ich zadaniem było nakręcić dziesięciominutowy film na dowolny temat. Proste? Może dodajmy, że praca musiała być w języku rosyjskim.

Pomysłem opiekuna i jednocześnie nauczycielki tego pięknego języka, pani profesor Solskiej, było nakręcenie teledysku do ekopiosenki, a jeden z aktorów koniecznie chciał się ubrać w sowiecki mundur. Ostatecznie zdecydowano się jednak na bajkę o szczupaku.

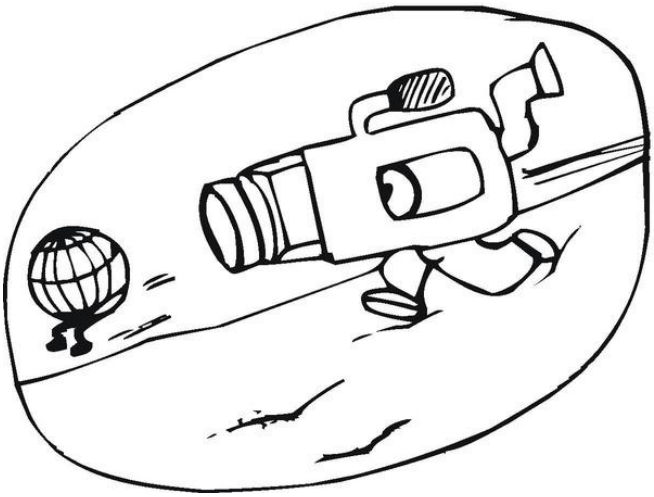

http://gry-dladzieci.pl

W poniedziałek, który cała reszta szkoły spędziła na rekolekcjach, oni poświęcili pięć godzin, by nakręcić film. Było to wielkie wyzwanie, biorąc pod uwagę fakt, że akcja owej bajki rozgrywa się w miejscach takich jak syberyjskie jezioro, pałac cara czy wybrzeże morza. Mimo to poradzili sobie świetnie.

Baśń opisuje losy leniwego mieszkańca rosyjskiej wsi, którego ulubionym zajęciem jest wylegiwanie się na piecu (Zbyszek Przygoda). Akcja zaczyna się od kłótni głównego bohatera z gospodynią (Karolina Kopczyńska), po której musi on pójść po wodę do przerębli. Przypadkiem wyławia szczupaka. Ryba postanowiła przemówić (głos: Kuba Boryk) i zaproponowała, że w zamian za wypuszczenie jej spełni życzenia wieśniaka. Pierwszym z nich było to, by wiadro samo zaniosło się do domu…

Po pewnym czasie wieść o dziwnych zdarzeniach dotarły do cara (Karolina Kopczyńska). Rozkazał on swoim sługom (Kuba Boryk i Adam Zaleski), by przyprowadzili cudotwórcę na dwór. Leniwy mężczyzna nie chciał ruszyć się ze swojego pieca, więc rozkazał mu się zanieść do pałacu. Nie dotarł tam, ponieważ po drodze spotkał księżniczkę (Karolina Kopczyńska). Wtedy pomyślał, że chciałby zostać królem i sprawił, by dziewczyna się w nim zakochała. Carowi nie spodobało się to i kazał wrzucić zakochanych w beczce do morza, oni jednak uwalnili się, a na życzenie wieśniaka nad brzegiem wzniósł się pałac. Car zainteresował się dziwną budowlą. Gdy ujrzał swoją córkę oraz jej ukochanego przeraził się i postanowił oddać królestwo w ręce szczęśliwca.

Film kręcono aparatem, a w jego tworzenie szczególnie zaangażowała się Karolina. Zagrała ona nie tylko potrójną rolę, ale jeszcze stworzyła dekoracje i zajęła się montażem. Warto wspomnieć również o niewymienionym wyżej narratorze (Kamil Stankiewicz). Dzięki wytężonej pracy wszystkich uczestników spośród dwudziestu dziewięciu filmów ich znalazł się w gronie laureatów. Wraz z trzema innymi został on pokazany na gali, a uczniowie otrzymali po trzy książki, dyplom oraz bilet do multikina.

Gratulujemy!

Zuzanna Opała i Anna Rzeczkowska

Kącik kulinarny – przepisy niespotykane

Czy ktoś z was jadł kiedyś babeczki z fasoli? Albo ciastka, których wykonanie zajęło 5 minut? Jeżeli nie to zapraszam do wypróbowania poniższych przepisów. Zapewniają moc wrażeń, ponieważ nie sądzę, abyście kiedykolwiek próbowali czegoś takiego.

Owsiano-bananowe ciastka śniadaniowe (2 ciastka)

3/4 szklanki płatków owsianych
1 dojrzały banan
1 jajko
3 łyżki mleka
1 łyżka oleju

Banana obieramy i rozgniatamy w miseczce (na papkę). Dodajemy pozostałe składniki. Całość dokładnie mieszamy, po czym połowę uzyskanej masy przekładamy do kubka i wkładamy do mikrofali o średniej mocy na około 4 minuty. Po tym czasie z kubka wyjmujemy gotowe ciastko. Czynność powtarzamy z pozostałą masą.

Myślę, że polubią je osoby, które zwykle nie mają zbyt dużo czasu na zjedzenie śniadania w domu. Przygotowanie takiego ciastka zajmuje około 5 minut. Najbardziej podoba mi się w nich prostota wykonania i fakt, że pomimo małych rozmiarów są bardzo syte.

Drugim przysmakiem, który wybrałam są:

Kakaowe muffinki z fasoli (8 babeczek)

240 g (puszka) czerwonej fasoli konserwowej
20 g (4 łyżki) naturalnego kakao
50 g miodu
2 jajka
3/4 łyżeczki sody oczyszczonej
1 łyżeczka cynamonu
1/2 łyżeczki gałki muszkatołowej
odrobina mielonego imbiru

Fasolę wysypać na sitko, opłukać z zalewy i odstawić na kilka minut, aby odciekła z niej cała woda. Fasolę i jajka włożyć do misy blendera i zmiksować na stosunkowo gładką masę. Dodać miód, kakao i przyprawy. Całość dokładnie wymieszać i nałożyć do foremek (najlepiej silikonowych). Piec w 190°C przez 25 minut.

Uwagi: Warto zauważyć, że są to dietetyczne babeczki (bez mąki i cukru). Proponuję więc je dosłodzić w trakcie pracy lub mocno polukrować. No chyba, że się odchudzacie. Wtedy nasze muffinki są doskonałym zamiennikiem słodyczy. (Tylko naprawdę w oryginale w ogóle nie są słodkie).

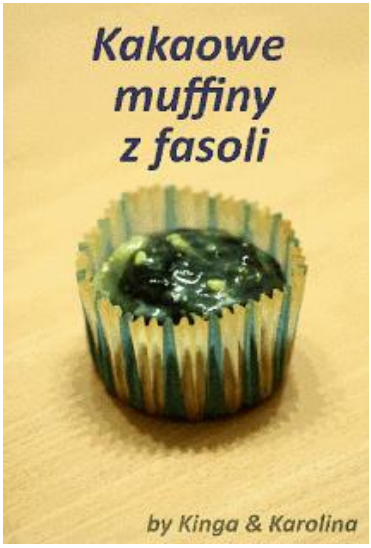

Robert Penn Warren, amerykański poeta, mawiał, że „Gdy tylko coś się nie udaje, to mówi się, że był to eksperyment". Nie mogę się z nim jednak zgodzić. Nasze fasolowe babeczki są tego doskonałym przykładem. Zdecydowanie można je nazwać eksperymentem, jednak udanym. Przygotowałyśmy je z Kingą na sobotnim spotkaniu, które początkowo miało się ograniczyć do zrobienia sushi. Jednak gdy skończyłyśmy przygotowywać ten japoński przysmak poczułyśmy ogromną chęć przygotowania czegoś jeszcze. I tak zrodził się pomysł przygotowania babeczek z fasoli.